

# Z ŁÓDKĄ NA PLECACH PRZEZ OSTĘPY



Ponad nami błękitne niebo. Dziób kanu rozcina gładką tafłę wody jeziora Opeongo, pociągnięcia wiosłami zaczynają układać się w zgodnym rytmie... Rozpoczęła się nasza kanadyjska przygoda. Czekają nas dwa tygodnie wrażeń w Algonquin Park.

Andrzej Sałaciak

Myśl o wyprawie na kanu do Algonquin Park, rzucona na pokładzie jachtu *POLONUS* przez kolegę ze szkolnej tawy, którego los zawiódł na kanadyjską ziemię, nie wydawała się realna w najbliższej przyszłości. Minął jednak tylko rok i oto jesteśmy na szlaku.

## **Przygotowania**

Najlepszą porą do takiej wyprawy jest jesień. Nie ma już komarów, a i turystów jest niewiele. Trzeba zabrać prowiant na całą wyprawę, bo tutaj po prostu nie ma gdzie jej kupić. Ponieważ w perspektywie

mieliśmy kilkadziesiąt przenosek, czy - jak to poważniej brzmi, portazy - na menu składały się głównie kasze, ryż, pieczywo chrupkie, kiełbasa krakowska zapakowana próżniowo i różne zupy w proszku. Przygotowanie posiłków odbywało się wyłącznie na ogniu, kuchenka na jednorazowe pojemniki z gazem w tych temperaturach nie spisywała się. Całe wyposażenie udało pomieścić się w dwóch wielkich nieprzemakalnych plecakach. Z kawałka ortalionu powstał też wiatrochron-parawan przeznaczony do kuchenki gazowej, który po przyszcyciu

dodatkowej kieszeni służył nam głównie jako żagiel.

## **Sobota - dzień pierwszy**

W sobotni słoneczny poranek pakujemy sprzęt do samochodu i mknijemy autostradą nr 11 na północ. Docieramy do Algonquin Outfitters - największej firmy zajmującej się wypożyczaniem wszystkiego, co jest potrzebne wędrowcowi w puszczy. Ponieważ jest już po sezonie, nie ma problemu z canoe, czyli w spolszczeniu kanu. Wybieramy największe o długości 5,5 m (18,5 stopy). Pakujemy kanu na dach samochodu.



Algonquin Park najlepiej przemierzać na kanu

Zbliżamy się do parku. Okolica staje się coraz bardziej urozmaicona, z obu stron autostrady pojawiają się jeziora ze skalistymi wysepkami. Wokół świerki i cedry. Docieramy do Jeziora Opeongo. Załatwiamy formalności, wykupujemy zezwolenie i zabieramy się do wodowania kanu oraz pakowania wyposażenia. Na jeziorze pływa wiele kanu. Widać, że jest to narodowy sport Kanadyjczyków.

Wyżywamy na otwarte jezioro i kierujemy się na odległe wysepki. Jezioro pokonujemy w trzy godziny, co daje średnią prędkość

5 km/godz. Całkiem nieźle, ale wiosłowanie wymaga więcej techniki niż siły. Większym wyzwaniem będzie dopiero pierwsza przenoska. Na początek 2180 m. Dopływamy do brzegu. Portáže oznakowane są charakterystycznym żółtym znakiem z postacią niosącą łódkę.

Odległość, ciężar wyposażenia i brak wprawy powoduje, że pierwsza przenoska pozostanie na długo w pamięci. Pierwsza runda to przeniesienie bagaży. Wracamy do kanu, krótkie przygotowania i na „heej hop” kanu spoczywa na ramio-

nach dnem do góry. Do Jeziora Wyspy Szczęśliwej docieramy już o zmierzchu.

### **Dzień drugi - niedziela**

Dzisiaj mamy do zaliczenia dwa jeziora i dwie przenoski. Pierwsza to tylko 340 m, druga, poważniejsza - 1840 m. Doprowadza nas do wąskiego strumyka, którym dopływamy na Jezioro Wielkiego Pstrąga. Obóz rozbijamy na jednej z wysepek. Czyistość i zadbane obozowiska robią wrażenie. Na każdym biwaku jest wydzielone i obudowane miejsce na ognisko. Również na każdym biwa-



Na szlaku

ku w pewnej odległości od miejsc na namioty znajduje się pewien przybytek.

#### **Dzień czwarty - wtorek**

Wczoraj nie spotkaliśmy nikogo, dzisiaj tylko jedno kanu przemknęło w oddali. Dzień kończymy rozbiciem obozu na wysepce na Jeziorze Catfish. Wyciągnięte na stromy brzeg

kanu dla pewności wiążemy do drzewa na wypadek, gdyby w nocy przyszedł silny wiatr.

Nasze kanu zrobione jest z laminatu, w którym zbrojenie stanowi kevlar. Przy długości 18,5 stopy waży poniżej 30 kg. Kształtem nie nawiązuje do indiańskiego pierwotnego - nie ma zakrzywionego dziobu i rufy. Ostatnie sto lat przyniosło zna-

czne zmiany. Indiańskie kanu, z kory brzozy papierowej, były idealnymi łodziami, jeśli wziąć pod uwagę dostępne materiały, wymagania akwenu czy prymitywne narzędzia. W drugiej połowie ubiegłego stulecia wykształciły się kanu budowane z samego drewna lub drewna pokrywanego grubym bawełnianym płótnem. Płótno po przesycaeniu szpachlówką olejną tworzyło mocną i twardą skorupę. Właśnie ten drugi rodzaj kanu stał się najbardziej rozpowszechniony i przetrwał aż do naszych czasów. Choć materiały tradycyjne zostały stopniowo wyparte przez stopy aluminium, które z kolei zostały zastąpione laminatami szklanymi i kevlarowymi, to jeszcze i dzisiaj można zamówić takie klasyczne drewniane kanu.

Sama idea łodzi pozostała jednak niezmienna: prosty, lekki kadłub ostro zakończony na końcach, jednopiórowe wiosła i wiosłarze siedzący przodem do kierunku płynięcia.

#### **Dzień szósty - czwartek**

Wyruszamy wcześniej. Trasa wiedzie rzeką Petawawa. Dzisiaj na



Catymi dniami nie spotykaliśmy człowieka, za to tosia nie raz



Tradycyjny sposób spania pod kanu



Na ogół jednak spaliśmy w namiocie

## Przepisy i ograniczenia

W celu ochrony środowiska parku wprowadzono szereg przepisów i ograniczeń. Oto ważniejsze z nich:

- konieczność wykupienia zezwolenia na określony czas i wybraną trasę,
- zakaz niszczenia roślinności i odławiania zwierzyny (łowienie ryb po wykupieniu zezwolenia),
- zakaz wwozu żywności w opakowaniach szklanych i metalowych puszkach,
- ograniczenie akwenów dostępnych dla łodzi motorowych do kilku największych jezior,
- zakaz ruchu samochodów i rowerów po większości dróg wewnątrz parku,
- zakaz używania odbiorników radiowych (walkmany są dozwolone).

## Dzień najładniejszy - niedziela

Jeziro jest najbardziej urzekające ze wszystkich, jakie dotychczas przepłynęliśmy. Mijamy kolejno wysępki z pojedynczymi świerkami. Kończące etap małe jeziora pokonujemy bez problemu, lądując w końcu na skalistym brzegu Jeziora Biggar. Nikogo wokół nie ma.

Ciekawostką jest to, że pływanie na kanu jako sport i forma wypoczynku trafiło do Ameryki... z Europy. W swojej ojczyźnie łódź ta była po prostu „koniem roboczym”, używanym przez handlarzy futrami, podróżników, poszukiwaczy przygód czy misjonarzy. Jeden z nich, Szkot John McGregor, poznał indiańskie kanu i eskimoskie kajaki na Alasce. W roku 1864 zbudował łódkę będącą połączeniem obu pierwowzorów. Odbył tą jednoosobową łodzią kilka podróży po rzekach Europy i Bliskiego Wschodu. Napisał o tych wyprawach książkę, która uczyniła jego osobą i łódkę bardzo popularną. W tym samym 1866 roku w Londynie powstał Royal Canoe Club, którego komandorem został brytyjski następca tronu. Nowy sport trafił do elit Nowego Jorku ciekawych nowinek ze Starego Świata. Powstały pierwsze kluby, a w roku 1880 powstała ogólnokrajowa organizacja American Canoe Association (Amerykańskie Stowarzyszenie Kanu), które istnieje do dziś.

## Dzień dziesiąty - poniedziałek

Kurs wiedzie do ujścia potoku Birchcliff. Rzeczka miejscami jest zbyt płytka na wiosłowanie, a dodatkowo niesamowicie meandruje. Pewnym utrudnieniem są tamy bobrów, których naliczyliśmy dziewięć. Musimy kanu przeciągać górą tak, aby nie uszkodzić tych budowli. Docieramy do Jeziora Birchcliff. Pozostała jeszcze jedna przenoska - niecałe 1,5 km. Do Jeziora Calm, czyli Spokojnego, bagaże niesiemy zapuszczoną utwardzoną drogą.

To już kompletna głusza. Wieczorem, gdy wzeszedł księżyc, po przeciwnej stronie jeziora rozlegało się groźnie brzmiące porykiwanie. Eeeh, pewnie niedźwiedź, jeden

z ponad dwóch tysięcy. Przed zanurkowaniem w śpiworach wieszamy starannie pakę z żywnością na wysokiej gałęzi. Kilkunastometrowa linka jest obowiązkowym wyposażeniem, a w przewodniku zawarta jest dokładna instrukcja, jak ją przenieść przez wysokie gałęzie. Chowanie żywności pod kanu może skończyć się jego kompletnym zniszczeniem, a zabieranie żywności do namiotu to już więcej niż lekkomyślność. Podobnie trzeba zawiesić torbę z odpadkami, a naczynia umyć bezpośrednio po kolacji.

### **Dzień jedenasty - wtorek**

Około 4 nad ranem pobudka. Groźne porykiwania były coraz bliżej, ale po oświetleniu latarką okolicznych drzew ucichły. Reszta nocy upłynęła w spokoju. Rano wyruszamy z zamiarem dotarcia do rzeki Nipissing. Kanu kojarzy się wyłącznie z wiosłowaniem. W bardziej odległych czasach powszechna była umiejętność posługiwania się tyką do odpychania od dna rzeki.

### **Dzień trzynasty - czwartek**

Wyruszamy wyjątkowo wcześniej - uwijamy się dla rozgrzewki, bo poranek jest wyjątkowo chłodny. Na jednym z portaży pada propozycja wypróbowania tradycyjnego sposobu spania pod kanu. Na przewrócony kadełb zakładamy plandekę, tworząc rodzaj namiotu otwartego z boków. Do spania ubieramy wszystkie ciepłe rzeczy. Zасыpiamy przy szumie potoku wpadającego opodal do jeziora.

### **Dzień czternasty - piątek**

Przed sobą mamy to, co „tygrysy lubią najbardziej” - żeglugę z silnym wiatrem na przemian z przenoskami. Do Jeziora McIntosh prowadzi wąski strumień, który wymaga zabawy w skręty w przechyle. Obozowisko rozbijamy na wysepce z malowniczym widokiem na jezioro

### **Dzień piętnasty - sobota**

Zaliczamy ostatni długi portaż (2300 m). Teraz widać, ile przybyło kondycji i ile ubyło zbędnych kilogra-

mów. Całą przenoskę robimy w 1,5 godziny. Rozbijamy obóz na brzegu Jeziora Tepee, w miejscu, gdzie kończy się wąska zatoka i rozpościera się widok na całą okolicę. Gładka woda, czyste, wręcz fioletowe niebo i księżyc w pełni...

### **Dzień szesnasty - niedziela**

W nocy były pierwsze przymrozki. Niepiesznie zwijamy obóz. Docieramy do betonowej zapory. Ostatnia przenoska i wypływamy na wody Jeziora Canoe. Przepływamy jezioro i docieramy do końca trasy. Dziób kanu wjeżdża delikatnie na plażę i to, co pozostaje, to tylko obejrzenie się do tyłu na te szesnaście dni, które przyniosły tak wiele przeżyć.

Przepełniliśmy zgodnie z mapą ok. 220 km, a przeszliśmy... 120 km - z całkiem słusznym ładunkiem. Może wkrótce i na naszych rzekach pojawią się kanu, które tak pięknie komponują się w krajobrazie, nie tylko kanadyjskim.  
Fot. Andrzej Sałaciak



W czasie wyprawy przepłynęliśmy 220 km, a „przenosek” było 120 km